

Stępech

PRÓMYŚL

TYGODNIK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

ROK 20

•

TOM II

•

NR. 36

WARSZAWA, 18 MAJA 1936 ROKU



HUCUŁ PRZY WARSZTACIE



Łowiczanka

Gospodyni pod Łowiczem
wyzłociły się pszenice.
Wyzłociło je to słonko
uśmiechnięte ponad łąką.
Obok łąki przy zieleni
niebieściutki len się mieni —
chyba go ten wiatr wypieścił,
że tak wkrąg się rozniebieścił.
A przy lnie, wśród łańców żyta
czerwoniutki mak rozkwita —
chyba mu ta tęcza zgóry
użyczyła swej purpury.

Popatrzyła gospodyni
na to pole złote,
wydobyła z białej skrzyni
wełny jeden motek.
Popatrzyła gospodyni
na lnu zagon długi,
wydobyła z białej skrzyni

wełny motek drugi.
Przypomniała sobie tęczę,
wydobyła motków więcej:
taki, jak zagony,
jak zieleń na łące,
i jak mak — czerwony,
i złoty — jak słońce.

Jak się wzięła do roboty!
Ten niebieski i ten złoty;
jeden taki, drugi siaki
trzy spódnice, trzy pasiaki!
A jak się ubrała,
a jak wyszła w pole,
zazdrościła jej zieleni
cała łąka wdole.
Kłaniały się maki
i len się zachwycił,
po zagonach zachwycona
szumiała pszenica.

Ed. Szymański

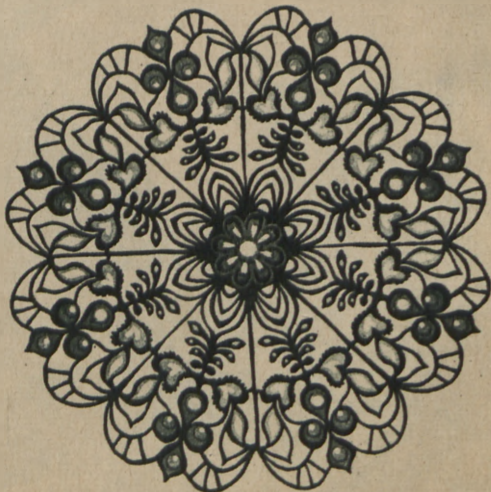
W ŁOWICKIEM

Sztuka ludowa w Łowickiem pięknie świadczy o upodobaniach i uzdolnieniach łowickiego ludu. Jak sztuka każdej grupy regionalnej, np. podhalańskiej, kujawskiej, mazurskiej, kurpiowskiej — tak i łowicka sztuka ludowa ma bezpośredni związek z życiem otoczenia, gdyż z niego powstaje.

Wszędzie na ziemi łowickiej lud stawia przy drodze kapliczki i krzyże.

Chaty malowane na lekko-błękitny kolor harmonizują z równie błękitnym niebem ponad wsią, żółtymi pszenicznymi polami i zielonymi łąkami. Wogóle „księżacy” — tak nazywają lud łowicki — kochają się bardzo w kolorach, w jaskrawej petrokaciznie. W izbach łowickich najważniejszą ozdobą są papierowe wycinanki. Rozmieszczają je

dokoła obrazów oraz pasami wzdłuż belek powały i ścian. Wycinanki łowic-



WYCINANKA ŁOWICKA



BĘDĄ PIĘKNE WYCINANKI

kie przedstawiają często scenki z życia ludu — są niezwykle piękne i jest w nich nieraz dużo ludowego humoru. Wyglądają tak, jakby to były malowane obrazki. „Księżaczki” wyrażają w nich swoje zdolności kolorystyczne, podobnie jak w tkactwie sławnych pasiaków wełnianych.

Ładną ozdobą wnętrza izby łowickiej jest malowana skrzynia. Na zielonem, brunatnem lub jakimkolwiek innym tle wymalowane są wzorzyste kwiaty i szlaczki. Z kolorem skrzyni zharmonizowane są zydle, a niekiedy i wysoko artystycznie wykonane łyżniki.

W długie jesienne popołudnie, w zimowe wieczory, kiedy lampa świeci się na stole, a w kominię bucha ogień — siadają „księżaczki” na swoich zydlach i zajmują się tkaniem wełniaków oraz haftowaniem swych strojów. Śpiewają wtedy przy pracy łowickie pieśni ludowe, ułożone przez nieznaną z nazwiska artystów, którzy wyszli z wioski, głównie ze Złasłowa Kościelnego. Pieśni te — chropowate, niewymyślne i w gwarze — to bardzo często opowiadania smutne jak ballady. Ulubiona jest piosenka zaczynająca się:

Jasio konie poił,
Kasia wodę brała,

Jasinek zaśpiewał,
Kasia zapłakała —
oraz druga, równie piękna:

I wyjechał pan z chartami w pole,
i zostawił małeńkie pacholę.
Wszystkie te pieśni są piękne i smutne,
nawet gdy początek ich jest skoczny,
jak w tej:

A w Krakowie na ulicy
piją piwko rzemieślnicy.
„Księżaczki” same wyrabiające stroje łowickie, nie dopuszczają, by do dzielnicy ich wdarła się fabryczna tandeta z miast. Farbują, tkają, haftują same. Hafty w strojach łowickich grają ważną rolę. „Księżaczki” przyozdabiają koszule haftem wykonanym drobnymi, ledwo dostrzegalnymi krzyżykami. Najbardziej rzuca się w oczy jeden motyw: róże czerwone, kremowe lub w jakiegokolwiek innej barwie pośród zielonych liści. Zaslugują również na uwagę pasy „księżaków” ze względu na niezwykle artystyczne wykonanie. Pasy są zazwyczaj szerokie: haftowane lub naszywane, wyplatane lub wyłaczane.

Strój łowicki jest tak kolorowy i piękny, jak słońce, łąki, woda, jak łowicki krajobraz. W niedzielę, gdy ludzie wystrojeni odświętnie wychodzą tłumnie z kościoła — jaskrawe kolory,



paciorki na gorsetach, spódnice, sukmany mężczyzn, kapelusze z wstęgami tłoczą się jedno przy drugim, wypełniając całą drogę wiejską, roją się, furkocą w powietrzu.

Lud łowicki, w przeciwieństwie do ludu z innych dzielnic, nie dopuszcza do zaniku swego odrębnego, bogatego stroju. Mężczyźni noszą filcowe kapelusze, przyozdobione kwiatami i wstęgami. Na kolorowe kaftany, najczęściej niebieskie, nakładają także sukmany. Spodnie czerwone lub żółte w podłużne pasy, wpuszczają do wysokich butów. Strój „księżaczki” jest bardziej oryginalny i pstry. Na szyi noszą śliczne paciorki, albo „siekańce” lub „dętki”. Gorset z klapkami pod szyję, nad nim sztywny kołnierzyk. Spódnica w pasy („wełniak”) wykonana z samodziła. U starszych „katanki” lub kafta-



WNĘTRZE CHATY ŁOWICKIEJ

ny” zwykle kolorowe w kratkę lub pasy.

Podobnie jak każda grupa regionalna, tak i łowicka posiada swój odrębny przemysł artystyczny. Jest nim ceramika. Prześlizne są kształty naczyń, zarówno jak w wyższym jeszcze stopniu artystyczne ich zdobienie.

A. Br.

ŚWIĄTKI PRZYDROŻNE

Mateusz był już stary,
bo sięgał sześćdziesiątki,
lecz siadał na swej przyzbie
i z drzewa lipowego
pobożne rzeźbił świątki.

Postacie rzeźbił święte,
choć ciężką miał już rękę,
postać świętego Jana,
świętego Mikołaja
i Chrystusową Mękę.

Raz dumiał o zachodzie
na przyzbie Matys stary
w sad patrzył rozkwiecony,
co złote strzały słońca
przesiewał przez konary.

A w onej złotej zorzy,
co siała się przez drzewa,
szła jasna, świetlna postać,
a wiatr Jej rąbki szaty
rozohylał i rozwiewał.

Ujrzał Mateusz w słonku
Chrystusa, jak po męce
szedł cichym kwietnym sadem
i, jak w dzień Zmartwychwstania,
chorągiew trzymał w ręce.

Zapomniał stary Matys
o całym Bożym świecie,
patrzył, jak drzew korony
pod stopy Zbawiciela
sypały białe kwiecie.

I odtąd przy tym łanie,
gdzie len się siwy kłoni,
stoi Pan Zmartwychwstały,
tak, jak Go widział Matys,
z chorągwią w bladej dłoni.

Wanda Malicka

A kiedy wyszedł Chrystus
z sadu Matysowego,
przeżegnał stary rzeźbiarz
szerokim świętym krzyżem
pień drzewa lipowego.

I cudną postać Pana
wyrzeźbił w jasnej belce —
z chorągwią purpurową
z wzniesioną wgórę głową,
postać radosną wielce.



SERCE W LIPOWEM DREWNIE

Nad wierzchołkiem „Trzech koron”
klebiły się bure mgły. W twarz Staska,
bladą i wymizerowaną, zaciął ostry,
szczypiący wiatr. Chłopak skulił się i
przebiegłszy raz jeszcze wzrokiem po
dalekich, sinawych szczytach, wpadł do
chałupy.

W kącie, pod opieką Świętych Pań-
skich, leżał sobie cicho i spokojnie
stary, osiemdziesięcioletni dziadek, co
to już od trzech niedziel chorzał i ni-
jak umrzeć nie mógł. Usłyszawszy
trzask drzewi, starzec otworzył błękitne,
jak dwa chabry oczy i uśmiechnął się.

- Daj mi rękę!
- Poco dziadku?
- Chcę wstać.

Stasiek podał leżącemu swą małą,
zsiniałą z zimna rękę, nie mogąc po-
jąć, co ten zamierza uczynić. A starzec
tymczasem wstał z barłogu i narzuciw-
szy na ramiona wytarty kozuch, wy-
szedł powolutku na izbę. Zatrzymał się
przy oknie.

— Lepiej wam — dziadku? — pytał
Stasiek z troską w głosie.

— Lepiej, dziecko, lepiej — szeple-
nił starzec, patrząc przez okno.

Chłopak ucieszył się niezmiernie.
Bo chociaż miał dopiero lat dwanaście
i chodził do czwartej klasy szkoły po-

wszechnej, ale w mózgu układał sobie
wszystko jak stary. Toteż trapiła go
długa choroba dziadka, który oddawna
zastępował mu zmarłego ojca, bawił,
pieścił i wychowywał, a zwłaszcza po-
zwalał mu całymi godzinami przypa-
trywać się swej pracy świątkarskiej,
gdy w małej, trochę ciemnej i opaje-
czonej izdebce rzezał w lipowym kło-
cu przedziwne figury Świętych Pań-
skich, a już najczęściej Jezusów Fraso-
bliwych, zawsze zasmęconych i bole-
jących.

Mateusz Smrek był bowiem świąt-
karzem sławnym na całą okolicę. Przez
pięćdziesiąt lat rzeźbił w lipowym, albo
w bukowem drzewie postacie świętych,
wspaniałe, dostojne i pełne namaszcze-
nia. Spod jego grubych, spękanych pal-
ców wyszła już niejedna kapliczka i nie-
jeden krzyż i niezliczona ilość tych po-
sągów, jakie strzegą polnych dróg i roz-
łogów. Nie było takiego podkarpackie-
go gościńca, na którym nie spotkałbyś
jakiegoś dzieła sławnego Smreka.

Często zaglądali do chaty Smreków
jacyś panowie z miasta. Przez długie
godziny gwarzyli z dziadkiem, i jedno-
cześnie razporaz przecierali szkła, po-
łykujące na nosie, mówiąc do siebie:
co za wapaniały, samorodny talent!



Każda rzecz rzeźbiona przez tego człowieka to skończone dzieło sztuki! Choćby ten stół, łyżnik, ławy, albo strop!

Stasiiek słyszał każde słowo mówiących i razem z nimi przenosił wzrok ze sprzętu na sprzęt, a wreszcie zatrzymywał się oczyma na okopconych belkach sufitu, gdzie wśród kół, serc i jodłowych gałęzi, wyciętych głęboko w drzewie, widniała data: R. 1850. W ten sposób odkrył piękno własnego domu i zapragnął tworzyć tak samo, jak i dziadek, krzyże i kapliczki przydrożne. Szczególnie zaś pociągały go te ostatnie.

Odtąd dniami całymi przebywał w półmrocznej świątkarni, gdzie zazwyczaj pracował dziadek. Siedział bez słowa. Prawą pięścią podparł łnianowłosą głowę i szeroko otwartymi oczyma wpatrywał się w każdy ruch pracującego.

Stasiiek Mastaleki chodził do szkoły w Szczawnicy. Uczył się dość pilnie, ale najbardziej ze wszystkich przedmiotów lubił rysunki.

Jednego razu nauczyciel polecił

dzieciom napisać zadanie na temat: „Jaki zawód wybiorę sobie w przyszłości?” Jędrzek Zajac, piegowaty, bardzo chudy chłopak ze Szczawnicy Niżnej, co często popłakiwał na przednówku z głodu, a w zimie z zimna, napisał: „Chcę być panem, by najeść się do syta”, Jewka Gdulówna odpowiedziała, że pragnie być zakonnica, Weronika Skowrońska nabazgrała: „chcę być bogatą gaździną, taką jak Zalewowa!” Stanisław przyznał się, że chce być oficerem, bo „lubi wojsko”, a Pietrek Kudlek odpowiedział, że pragnie zostać murarzem i budować takie piękne wille, jak te, w których mieszkają letnicy. A Stasiiek Mastaleki powtórzył to, o czym myślał zawsze: „będę świątkarzem”.

Wkrótce zabrał się do robienia z lipowego drzewa swoich cudaków. W lecie mozolił się nad kłosem na pastwisku, a jesienią przeniósł się do domu, gdzie pod okiem dziadka strugał, a strugał zawzięcie.

Dopiero choroba dziadka przerwała pracę. Stasiiek odłożył kozik, bo we wpółciemnej izbie nie łaskotał już młot, nie pisał świder, ani nie świślały dłota.

Mateusz Smrek leżał zółty i bezwładny pod ciężkim kożuchem. Mówili że umierał, ale Stasiiek z radością przekonał się, że jeszcze żyje, skoro w niedzielę popołudniu wstał i obejrzawszy przez okno swoje ukochane góry, rzekł z uśmiechem:

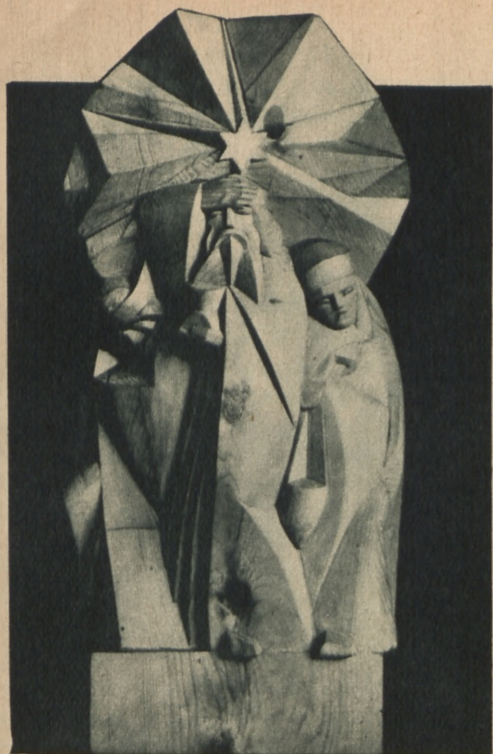
— Pójdźmy dziecko do naszego gospodarstwa, świątki wyglądają nas, a i Panu Jezusowi bez szatek jakoś nijak na takim chłodzie.

— Pójdźmy, dziadku.

Weszli do wnętrza izby. Na zakurzonem boiaku walały się części jakichś połamanych rzeźb, a na środku stała niedokończona figura Chrystusa Frasobliwego, o smutnej, cierpiącej twarzy, ale bez szat. Tych bowiem nie zdążył jeszcze wyciąć w bukowym kłocu Mateusz Smrek, zaskoczony chorobą. Więc Jezus zziął w jesiennym chłodzie.

Usiedli na soanowej kłodzie. Starzec ujął Staśka za rękę.

— Pamiętaj, byś mi przyodziął Pa-



na Jezuska, kiedy już mnie tutaj nie stanie.

— A wy, dziadku?

— Chyba już pójdę do swoich świątków, których tyle wystrugałem w swem życiu. Czekają na mnie, dziecko, oj czekają.

Stasiek zapłakał głośno. Mateusz Smrek otarł oczy dłonią.

— Nie płacz, dziecko. Wszystko jest w boskiej mocy. Chciałem tylko zmiarkować, czy potrafiłbyś mnie zastąpić. Przecież umiesz już niejedno. Sam to widziałem przecież!

— Nie, dziadku — odparł chłopiec, usiłując powstrzymać łzy, cisnące się do oczu.

— Nie zmożesz?

— Nie...

— Dlaczego?

— Bo wasze świątki są żywe i jakieś inne, niż moje...

— Masz rację, ale to jeszcze czas. I moje były kiedyś takie jak twoje, ale potem ożywiłem je, chłopcze.

— Jak? — zapytał chłopiec gwałtownie, a oczy jego rozblęły dziwnym blaskiem.

— Całe swoje serce zamknąłem w lipowem drewnie! Pamiętaj o tem!...

— Wiem, że może będziesz żył w biedzie, nieraz zabraknie ci i owianego placka — mówił — o ziemniak będzie trudno, ale czemuż jest nędza wobec tego! — tu pokazał ręką na niewykończoną figurę Jezusa Frasobliwego. — Tacy jak my świątkarze, to jakby odmienne. Żyjemy inaczej, niż nasi sąsiedzi, inaczej patrzymy na ten świat Boży, inne rzeczy widzimy, niż tamci, a nadewszystko nie lecimy za groszem, jak inni ludzie. Bo na tej ziemi jest tak: jeden kocha majątek, inny pyszny strój, a tamten znów dba o tłustą strawę, a jeszcze inny zaprzedał swą duszę sławie, kiedy ją zamknął serce w lipowej, bukowej, czy też smrekowej kłodzie, w tych krzyżach, Mękach Pańskich i kapliczkach, rozsianych po podkarpackich ścieżkach. Ale cóż, kiedy, ludzie przechodząc tamtędy zdejmą czapkę, lecz serca tego nie widzą!...

Ostatnie słowa wyzepełnił starzec z trudem. W piersiach mu grało. Wyjął z bezzębnych ust wygasłą fajkę i tak siedział bez ruchu. Gdyby nie głośny oddech, możnaby pomyśleć, że zastygł tak nazawsze.

Stasiek zaniepokoił się. Szarpnął dziadka za rękaw. Ten rozchylił powieki, wstał z jękiem i powłókł się do łóżka...

A nazajutrz rano stary Smrek już nie żył. Poszedł do grona tych świętych Pańskich, których postaciami przez pięćdziesiąt lat zdobił polne drogi, ugory i szerokie gościńce...

Stasiek został tylko z matką w ustronnej chacie, przylepionej, jak jaskółcze gniazdo do górskiej ściany. Musiał zająć się gospodarką, bo siły matki słabły z dnia na dzień. Ale każdą wolną godzinę spędzał w ciesielskiej izbie, gdzie w myśl polecenia dziadka starał się okryć fałdzystą szatą obnażone ciało Jezusa Frasobliwego, którego Smrek nie zdążył wykończyć przed śmiercią. Po paru tygodniach stworzył też szaty piękne, i naprawdę godne samego Króla!...

A zaraz potem jął strugać zawzięcie jakowyś ołtarz dziwny, jaki marzył mu się na dnie duszy.

Na wiosnę zjawili się w chacie Ma-

stałskich dwaj elegancko ubrani panowie. Pytali o starego Smreka, a kiedy dowiedzieli się, że umarł, jeden z nich, odezwał się:

— Szkoda wielka, gdyż był to artysta z Bożej łaski. Duży, samorodny talent. A ty jak nazywasz się, chłopcze? — zwrócił się do Staśka.

— Stach Mastalski.

— A ty nie myślisz pójść w ślady dziadka?

Chłopiec poczerwieniał. Nie mógł wyrzec słowa. Spuścił oczy. Wyręczyła go jednak matka.

— On przecież, proszę panów, ciągle majstruje w drzewie. Mam kłopot z tym jego uporem. Zna tylko dłoto i drzewo, ale nie więcej!...

Przybyłszy ożywił się. Młodszy z nich o miłej, słonecznej twarzy, wszedł z Mastalską do wnętrza pracowni Smreka. A za nim udał się towarzyszy. Zaraz na wstępie wzrok ich przykuł śliczny krucyfik, opleciony misternie rzeźbioną tarniną.

— To twoje?

— Tak — szepnęła Stasiak nieśmiało.

— Co za krzyż! — chwalił pierwszy z gości.

— Śliczny! — powiedział starszy brunet, mrużąc oczy.

— Kiedy mnie się zdaje, że zły! — przemówił nagle Stasiak.

— Dlaczego? — zdziwili się naraz obaj panowie.

— Bo brak tam jeszcze mojego serca! — rzekł chłopiec, usiłując stłumić łzy, tryskające spod powiek.

Jeszcze tegorocznej jesieni Stasiak Mastalski znalazł się w zakopiańskiej Szkole Przemysłu Drzewnego, gdzie przez cały dzień lepi i rzeźbi pod okiem swych nauczycieli najróżnorodniejsze figury z gliny i brzości.

Wiele z tych tworów znalazło się na wystawach zagranicą: w Bukareszcie, w Hamburgu, Leodjum i Gdańsku, budząc powszechny podziw u cudzoziemców, dla tych prostych a jednocześnie skończenie pięknych dzieł „czcicieli Kapliczki przydrożnej”.

Stasiak jest szczęśliwy, bo nareszcie poznał tajemnicę, jaka długo spędzała sen z jego dzieciennych oczu. A mianowicie: umie już całe swe serce zamknąć w lipowym drzewie!

Józef Nikodem Kłosowski

NA HUCULSZCZYŹNIE

Wśród wysokich gór, jodłowo-bukowych lasów, w malowniczych dolinach Prutu i Czeremoszu mieszkają Huculi, wypasając swe stada na poloninach, lub spławiając drzewo rwąciami, górskimi rzekami.

Już w samej postaci Hucuła uderza nas jakieś piękno, bijące z jego smukłej sylwetki, ze smagłej twarzy o ostrych, regularnych rysach i ciemnych, błyszczących oczach. Dorodność jego podkreśla strój, który wspaniale dostosowany jest do życia w górach. A stroić się lubią Huculi bardzo i to tak kobiety, jak i mężczyźni.

Hucuł chodzi w samodziałowych portkach, które poniżej kolan chowa w wełniane onuce, często ozdabiane haftem i chwaścikami z kolorowej włóczki. Na nogach ma skórzane kierzpce, ściągane rzemyczkiem. Białą, haftowaną na szwach i po rąbku koszulę wyrzuco-

ną nawierzch przytrzymuje skórzany pas. Na koszuli nosi Hucuł wyszywany serdak skórzany, a nawierzch zarzuconą jak peleryna krótką, brunatną guńkę. Szyta jest ta guńka z szorstkiej wełny samodziałowej. Wszystkie jej szwy podkreślone są haftem kolorowym. Na głowie — czarny, filcowy kapelusz z wywiniętym rondem i barwną opaską z blaszkami i chwaścikami z włóczki. Stroju dopełnia przerzucona przez ramię skórzana torba na długim rzemieniu, bogato zdobiona. Za każdym krokiem Hucuła brzęczą, jak dzwoneczki, przyszyte do niej mosiężne brzękadła. Ozdobna ciupaga (siekierka) mosiężna stanowi nie tylko podporę, ale i broń Hucuła przed napastnikiem.

A jak ładnie wygląda Hucułka, gdy przebiega halą, lub gdy konno jedzie na targ, to do kościoła, to z weselem. Może jej krok jest dlatego taki lekki,



CERAMIKA HUCULSKA

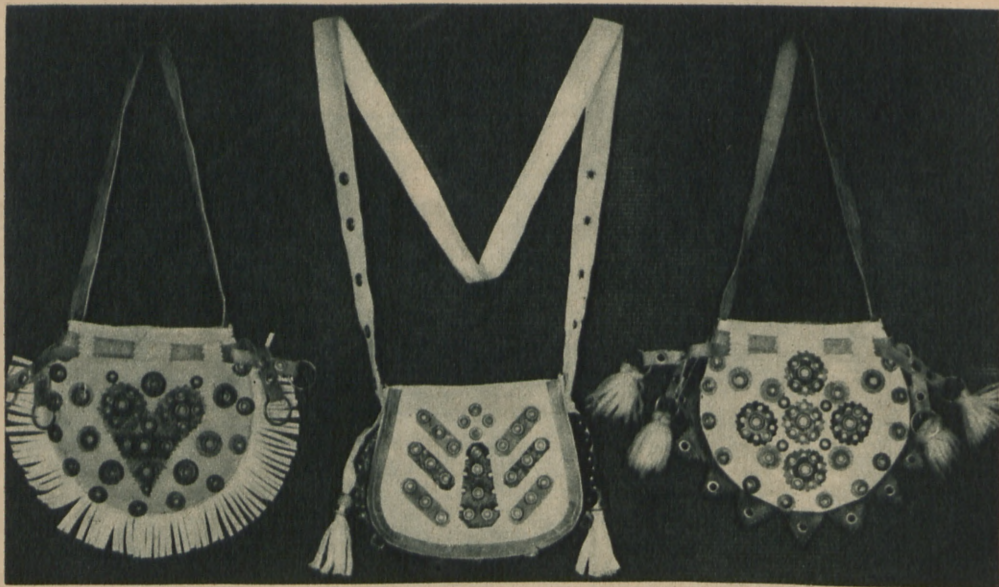
zwinny, że chodzi w kierpcach. Długie białe, płócienne koszule bogato wyszywane nosi się jako odzież zwierzchnią. Często całe rękawy pokrywa pracowity haft (w kolorach czerwonym, żółtym, czarnym i niekiedy zielonym). Na koszuli wiążą zamiast spódnicy, stylu i sprzodu, dwie zapaski z samodziółu w drobnouchne prążki. A zamiast fartucha okręcają koło pasa skóńie złożoną kolorową chustkę. Na głowie zawiązany ma Hucułka zawój z barwnych chustek, najczęściej w czerwonych tonach, a na szyi dużo korałi i naszyjniki z monet. Od chłodu chroni Hucułkę skórzany biały serdak, pięknie wyszywany.

W stroju huculskim ogromnie jakakrawo występuje chęć podkreślenia haftem kolorowym, czy mosiężną blaszką, każdego najmniejszego bodaj szczegółu ubrania. W tem umiłowaniu do ozdobności wypowiadają się wielkie zdolności artystyczne tego ludu.

Strój huculski jest ciekawy, nie tylko przez swoje piękno, ale przedewszystkiem dlatego, że w tym dzikim zakątku górskim zachowały się prastare kroje odzieży z tych czasów, kiedy nie przycinano jej nożycami (bo ich jeszcze nie znano), lecz darto z płatów samodziółu, lub wykrawano nożem.

Zachował się też tu nie tylko dawny strój, ale i odwieczne sposoby techniki obróbki skóry, przygotowywania przędzy wełnianej, tkania samodziółów i mosiężnictwa. Hucuł bowiem wszystko sam umie zrobić, co mu jest potrzebne do ubrania i w gospodarstwie. Z pięknie wyprawionej skóry sporządza Hucuł serdaki, kierpce, torby, pasy (a dawniej także i naczynia). Zdobi je bogato, wyciskając na nich rozmaite desenie i haftując kolorowymi włóczkami, nabijając mosiężnymi blaszkami. Te metalowe kółka, spinki, sprzączki, krzyżyki — błyszczące ozdoby, które tak chętnie wszystko przystraja, Hucuł sam fabrykuje, wycinając z blachy, skręcając z drutu, lub odlewając w glinianych formach. Zdobi je następnie odciskaniem przy pomocy tłoczka kółeczkami, gwiazdkami, trójkątami. Sam też odlewa fajki, ciupagi i inne przedmioty. Dawniej używano do odlewów tylko miedzi i mosiądzu. Obecnie jest modny także „bakwun”, albo „bakfon”, zwany też chińskim srebrem. Jest to stop niklu, cynku i miedzi, który ma być łatwiejszy do obróbki, a przytem wygląda jak srebro.

Huculi słyną także z umiejętności tkania pięknych samodziółów z wełny, którą sami robią z owczej sierści i bar-



HUCULSKIE WYROBY SKÓRZANE

wią barwikami roślinnymi, albo kupnemi.

Hucul nie tylko przystraja swe ubranie, ale zdobi niemal każdy przedmiot codziennego użytku. Wychowany wśród lasów ma drzewa do obróbki pod dostatkiem. Celuje też w wydrążaniu w drzewie kubków, czerpaków, butli, łyżek, łyżników (półeczek z otworami, za które zatyka się łyżki), foremek do serków owczych, świeczników i wielu

innych przedmiotów. Zdobi je rzeźbą, ornamentem wycinanym, a prócz tego w otworki wycięte w drzewie nabija metalowe blaszki, kolorowe paciorki, szklane, kawałki barwnego drzewa, a nawet masy perłowej. Są to niekiedy prawdziwe arcydzieła sztuki zdobniczej. Wiele jest twórców bezimiennych, ale nazwiska niektórych są znane ogólnie (Dediukowie).

Janina Przeworska

SKOK ZBÓJNIKA

Bieda w chałupie Lipków aż pisała po kątach. A kiedy ostatniego roku zaczęły jeszcze nadobitkę owce zdychać, nie było już prawie co do garnka włożyć, bo nawet i żentycy zabrakło.

Stasiek biegał za zarobkiem całą ziemię do Zakopanego. Tu dREW narąbał, ówdzie walizkę zaniósł jakimś gościowi z miasta. Ale i tej roboty było mało. Musiała gaździna krowę na przednówku sprzedać i teraz młodsze dzieci nawet mleka nie miały.

Kłopotał się Stasiek coniemiarą, bo przecież od śmierci ojca żywicielem był i opiekunem całej rodziny. Jednak nie dawał się biedzie.

— Jeszcze zobaczymy, kto mocniej-

szy, — myślał, podśpiewując przy pracy ulubioną piosenkę:

Górol jo se górol
Spod wysokich Tater,
Wykompoł mnie dyscyk,
Wykołysoł wiater.

Ale w domu było coraz gorzej. Matka wyprzedawała stare sprzęty, gunię po ojcu, obrazy ze ścian. Zostały wreszcie puste ławy w izbie, stół i parę misek i garnków na półce.

Pewnego razu wrócił Stasiek z Zakopanego bardzo zgryziony. Napróżno cały dzień wystawał na stacji, dopraszał się o robotę u gaźdów. W domu matka przywitała go słowami:

— Przychodzili ludzie z miasta do chałupy oglądać te ostatnie obrazki. Może im sprzedać?

Stasiek zasępił się. Obrazki, które do tej pory ostały się w izbie, były stare, malowane na szkle. Z ojca na syna przechodziły w rodzinie. Jeden szczególnie ulubił sobie chłopak. Malowidło przedstawiało słynnego Janosika w towarzystwie dobrych chłopców. Zbójnicy zebrali się wkoło watry, przez którą jeden z nich, Surowiec, przeskakiwał, popisując się swoją zręcznością. W skoku przez ogień jedną ręką odstrzelał z pistoletka gałązkę jedliny, a równocześnie drugą, uzbrojoną w ciupagę, odcinał wierzchołek smreka. Wszystko to było wiernie odmalowane na obrazku.

— Kiedy już trzeba, to może sprzedamy „Narodzenie” — wyjąkał Stasiek po chwili z wahaniem.

— O, gdzieżbym ja też sprzedawała to moje kochane Narodzenie! — załamała ręce gaździna. — Przecie to jedyny w domu świętek!

Stasiek umilkł. Wiedział dobrze, że matka wielką wagę przywiązuje do tego obrazka. Bo i było na co popatrzeć. Z czarnych ram, wylepionych w rozmaite wzory drobniotkami kawałkami

ciętej słomy, jaśniało to malowidło na całą izbę żywymi barwami. Nad Dzieciątkiem w żłobie pochylali się w modlitwie święty Józef i Matka Boska.

— Nie sprzedam za żadne skarby — powtórzyła gaździna. — Jeszcze twój pradziad ten obrazek malował. Widzisz, Stasiek, tu na dole jest rok wypisany.

Chłopak spojrzał z ciekawością. Na dolnej listwie ramy była rzeczywiście data wycięta ze słomy, rok 1861.

— Ojej, to już siedemdziesiąt pięć lat ma ten obraz!

— A ma! Dziś nikt takich rzeczy malować nie potrafi. I tybyś chciał, synu, żebym w obce ręce taką pamiątkę oddała?

Stasiek zamyślił się:

— Ale i „Skok zbójnika” też pewnie stary — próbował bronić ulubionego malowidła.

— Ja cię nie przymuszam — westchnęła matka. — Nie chcesz, nie sprzedamy.

Tego wieczoru poszli spać bez wieszczy. Dzieci popłakiwały trochę, ale jakoś sen je zmorzył. Matka także zasnęła. Tylko Stasiek przewracał się z boku na bok i medytował nad swymi kłopotami.





— Jutro napewno zarobię — pocieszał się w myśli. — Niedługo już tej naszej biedy.

I zaraz przypomniał sobie znowu, że dzieci nie będą miały jedzenia przez cały dzień, póki nie wróci z roboty. Od tej troski porwał się z ławy.

— Chyba już sprzedam zbójników! — powiedział prawie głośno.

Nazajutrz o świcie Stasiek zdjął obraz i pobiegł z nim do chałupy, w której mieszkali goście z miasta.

Gaździna nie chciała wpuścić go do mieszkania:

— Przyjdź później, koło południa. Teraz śpią jeszcze.

Ale Stasiek nie ustępował:

— Później obrazka nie sprzedam — zawołał. — Moje dzieci rano chcą jeść. I już zabierał się do odejścia, ale na szczęście obcy pan, słysząc w sieni głośną rozmowę, wyjrzał z izby i przywołał chłopaka.

Aż mu się oczy zaświeciły, kiedy zobaczył w rękach Staśka „Skok zbójnika”.

Niedługo potem w chacie Lipków bulgotały wesoło kartofle na rozpalonej blasze i skwierczała na patelni przysmażana słonina.

Stasiek, siedząc na ławie, huśtał na kolanach najmłodszego brata i opowiadał matce:

— Teraz to mi już nie żal „Zbójników”. Mówił mi ten pan z miasta, że obrazek odda do Muzeum Tatrzańskiego, żeby wszyscy ludzie mogli go oglądać. A jak pójdę do Zakopanego, to skoczę na Janosika popatrzeć. Zawsze lepiej, że wśród górali zostanie.

Matka kiwała głową. Ale kiedy chłopak, wychodząc do roboty, pochylił się do jej ręki, z zalem spojrzała na puste miejsce po obrazku i serdecznie, jak nigdy jeszcze, uścięnęła Staśka.

Wanda Grodzieńska



TRZY DZIEWCZYNY

Trzy dziewczyny
szły do miasta
opłotkami,
gdzie kaliny
krzak wyrasta,
gdzie czerwona
jarzębina
w liściach grona
kraśne chowa
jak zapaska
kolorowa.

Jedną stroi
chusta żółta
i miedziane na niej kółka,
niby monet lśniące krążki.
Jej warkocza ciemny powój
przeplatają szafirowe
wstążki.



Drugiej skronie muska
błękitnawa chusta
w małe kropki
jak konopi
ziarna.
Serdak wdziała
w modre kwiaty
i te z łąki i te z pola
i kąkole i bławaty
i powoje
pomieszały barwy swoje.
I tak idzie
czarnowłosa, czarnobrewa,
drogom śpiewa,
kłosom śpiewa,
a włos jak nić czarna
w wietrze się rozwiewa.
Trzecia w chuście
czarnej chodzi.



Żałobnika strój podobny,
 kiedy głodny
 rosę strząsa
 wśród kwiatów powodzi.
 Nie nuciło
 dziewczę trzecie
 w chuście czarnej.
 To jej wicher
 na żalonym flecie
 dumki ciche plecie
 i promienne kosy
 do ramion przygarnia.
 Trzy dziewczyny
 szły do miasta.
 wélad za niemi
 spoglądała jarzębina:
 dorodna niewiasta.

Stefan Helt

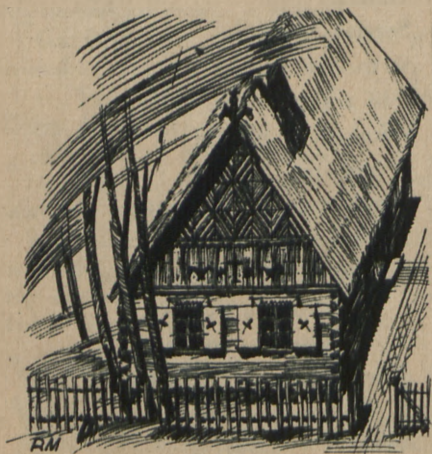


NA KURPIACH

Sztuka ludu Kurpiowskiego, zamieszkałego w północnej części Polski, wzdłuż granicy Prus Wschodnich (Mazurów Pruskich), ma swoje odrębne

cechy tak w ubiorze, jak i budownictwie chałup, kościołów, kapliczek, krzyży przydrożnych i przyozdabianiu wnętrza chat. Odmienne warunki życia Kurpia żyjącego w puszczy, wyrobić musiały w nim inną pomysłowość zdobniczą, choć wyrosłą z pnia, wspólnego wszystkim ludom Polski, a zwłaszcza Mazowsza.

Kurpie buduje chatę nie inaczej, jak szczytem (krótszym bokiem) do drogi. Szczyt chaty kurpiowskiej jest jej główną zewnętrzną ozdobą. Tutaj cieśla koncentruje cały swój zmysł dekoracyjny we wzorzystym układzie heblowanych desek, które przybijane gwoździami przez kwadratowe blaszki, nadają chacie wyraz nader strojny. Szczyt zakończają t. zw. éparogi (dawna pozostałość z czasów pogańskich ku czci bożka kowala Swaroga), pomiędzy którymi dziś — jako symbol zwycięstwa chrześcijaństwa — tkwi krzyż.



CHATA KURPIOWSKA

twień i takie, które już mają troski i obowiązki domowe.

Wandzia pocieszyła się trochę po Łodzi. Tu też zaczynało być zajmująco i można było znaleźć przyjaciółki.

Drzwi się otworzyły i weszła pani z dziennikiem. Dziewczynki rozsypały się po ławkach, a wesoła Gretka, sąsiódka Wandzi z lewej strony, zdołała jej szepnąć prędko:

— Dobrze, że razem będziemy siedzieć, nie? — i prędko pod ławką uściśnęła jej rękę.

IV.

Kiedy w południe tatuś wrócił na obiad, Wandzia przywitała go tego dnia wesoło z pomorska:

— Jak ci idzie tatusiu, bo mnie doskonale?

Naprawdę poszło doskonale. Poznała prędko nie tylko dziewczynki, ale całe miasteczko, ulice, piękne drogi w stronę trzech jezior, które otaczały miasto. Nad największym z nich było wzgórze, które nosiło nazwę Zamkowej Góry.

Właściwie nie było tam już zamku, tylko stare mury, rozsypane w malowniczą ruinę. Można było tylko zgadywać, jak tu wyglądało niegdyś. Wandzia z triumfem zaprowadziła tam matkę.

— O, widzisz, w murze są jeszcze strzelnice, a fosa wygląda tak samo jak paręset lat temu, tylko wody w niej niema i cały wał jest. Jak myślisz mamusiu, może tu są jakieś zakopane skarby?

Ale mama śmiała się:

II.

To była poniekąd prawda, nowe miejsce okazało się niepodobne do niczego znanego. Do Wąbrzeźna przyjechali autobusem. Autobus zjeżdżał zgóry wdół i już zdaleka ukazało się miasteczko, czyste, murowane, położone nad pięknym jeziorem.

Nowe mieszkanie było w parterowym domku przy wąskiej uliczce Mestwina. (Odrazu okazało się, że nikt, zupełnie nikt nie wie, kto był Mestwin).

Wszystko było lśniące, świeżo malowane, ale o wiele mniejsze niż w Łodzi.

Wandzia ani chwili nie mogła się utrzymać w mieszkaniu. To była dopiero przyjemność, żadnej sieni, żadnych stopni, odrazu z dwóch schodków prosto na ulicę, przed dom.

Naprzeciwno, bliźutko jeden obok drugiego sklepy z najdziwniejszymi szyldami: „Rzeźnictwo” i „Piekarnia chleba i ciast”, a dalej „Mistrz siodlarski” z wielkim koniem w uprzęży na wystawie.

Nad jednym sklepem siedział mały złoty lew, nad innym stał anioł w niebieskiej szacie z rozpuszczonymi włosami. To były drogerje „pod Lwem” i „pod Aniołem”. W Łodzi nazywało się to zawsze zwyczajnie: skład apteczny.

Wanda, zapominając o pilnowaniu Jasia, gapiała się wciąż na te niezwykłości, a Jasio podniecony zmianami, spaniem, które się przygotowywało na zwykłych siennikach, bo jeszcze łóżka nie były gotowe, wrzeszczał w niebogłosey.

Wtedy mama wychylała się przez okno (strasznie to zabawna rzecz takie parterowe okno, spojrzeć, a już widać całe mieszkanie) i wołała:

— Wandziu, uspokój Jasia.

Ach, ile rzeczy się wydarzyło już pierwszego dnia. Najpierw przyszła do pomocy w gospodarstwie młoda dziewczyna z niebieskimi, wesołymi oczami. Nazywała się Marta. Mówiła „wielmożna pani”, albo „łaskawa pani”, a mamusia zaraz na to, że nie potrzeba, żeby tylko „pani”.

Podziwiali siebie nawzajem. Marta oglądała wszystkie przedmioty i naczynia, jakie przywieźli.

— Ale to piękne... — wzdychała wciąż i wypytywała:

— To nie jedwabne? A to z czego?

Wanda też kręciła się koło niej z ciekawością. Zapytałaby ją chętnie o coś, ale nie wiedziała jak zacząć. Tymczasem Marta sama przystąpiła do niej i z uśmiechem na rumianej twarzy zapytała:

— Nie wie to gdzie śruber?

Wandzia okrąglami ze zdumienia oczami i z otwartymi ustami patrzyła na nią bezradnie. Niby to było po polsku, a przecież nic się nie rozumiało. Ani słowa.

Nawet mama przywołana na pomoc nie wiedziała. Zaczęto pokazywać, domyslać się.

— Może śruba?

— Nie, nie skąd.

Okazało się, że to zwyczajna szczotka.

Dopiero tatuś, który tu już był od miesiąca za-

będą rachunki, a pani jest bardzo dobra i czasem tylko się „zjadowi”.

To chyba znaczy — rozgniewa — domyśliła się Wandzia.

Zaczęły się też po kolei przedstawiać, jak się która nazywa. Więc najbliższa obok, Oleńka Czechówna, pana burmistrza córka i Hilda Gulda z ulicy Kolejowej i Gretka Kaczmarek, córeczka mistrza kominiarskiego.

Przy dziewczynkach wymieniało się zaraz ich ojców. Było to bardzo zabawne i odrazu widziało się w wyobraźni domy rodzinne dziewczynek.

Oprócz tych w haftowanych fartuszkach, sporo było innych, w starych sukienkach, bez kołnierzyków, a jedna nawet nosiła fartuch wyraźnie przerobiony z dużego, pasiastego. Dziewczynki opowiadały o niej Wandzi:

— Ojdowska się nazywa i w barakach mieszka na Luksusie. To się tak ten plac nazywa, gdzie baraki są. My jej mówimy Ojda. Ona nawet do szkoły rzadko przychodzi, bo nie ma matki i sama w domu gotuje. Pani tylko zawsze upomina, że ma przychodzić — objaśniła usługna Oleńka.

— A tamta to Piotra Baba, widzisz, jaka duża. Właściwie Piotrowska. Ona znów zimą nie przychodzi, bo nie ma ciepłego palta i aż w Myśliwcu mieszka.

W ciągu kilku minut poznała Wandzia całą klasę. Okazało się, że we wszystkich szkołach są dziewczynki najróżniejsze, takie które nie mają zmar-

Bardziej jeszcze niż kiedykolwiek trzeba się było przypatrzeć nowej, która się zjawiała w czasie roku szkolnego i kto wie z jak daleka...

Stały w tej klasie wielkie ławki, takie, jakich Wandzia nigdy jeszcze nie widziała. Na każdej siedziały cztery dziewczynki.

Stała bezradnie pod piecem. Dwie dziewczynki zdaleka chichotały, patrząc w jej stronę.

— Poradzę sobie — pomyślała nagle i spytała najbliższej:

— Czy jest jakieś wolne miejsce?

— Wedle okna — odpowiedziała jasnowłosa dziewczynka z mocno splecionymi warkoczami. Nośła fartuszek biały, haftowany w niebieskie kwiatki. Sporo dziewczynek miało takie.

— Usiądź tu — powiedziała — ja też w tej ławce siedzę, nie, to będziemy razem. — Wandzia rozumiała ją doskonale, a jednak był to wciąż ten nowy nieco język, niby polski, a trochę inny.

— Skąd wyście przyjechali? — spytała ciekawa sąsiadka.

— Z Łodzi.

— Ach mój jeny, to daleko — zainteresowała się dziewczynka i zaraz jeszcze kilka otoczyło ławkę.

Chciały wszystko wiedzieć naraz, gdzie jest Łódź i czy dużo i czym Wandzia przyjechała i z jakich książek uczyła się przedtem.

Zato też prędko i jedna przez drugą opowiadały o swoich sprawach. Że najbliższa lekcja to

— Spróbuj poszukać — powiedziała.

Zamek to było ulubione miejsce spacerów, ale właściwie szło się tylko w stronę ruin krętą drogą wśród zarośli nad jeziorem. Na Zamkową Górę dziewczynki nie wchodziły. Oleńce nie pozwalano, a Gretka bała się, zresztą wszystkie znały już doskonale stare mury i tylko Wandzia widziała coś niezwykłego i tajemniczego w szczątkach krzyżackiego zamku. W Łodzi oczywiście nie było podobnych miejsc.

— Gdzieś była znów? — pytano się w domu.

— Na „pod zamkiem” z Oleńką burmistrzanką — odpowiadała Wandzia i nie spostrzegając sama, że już mówiła tutejszym sposobem.

Oleńka burmistrzanka była miła, ładna i uczyła się dobrze. Wandzia zaprzyjaźniła się z nią najwięcej, ale zżyła się już także z resztą dziewczynek i знаła wszystkie osobliwości klasy.

Piotra Baba była nietylko największa i najsilniejsza, ale uczyła się też najgorzej, najmniej umiała i łatwo było ją namówić na najgłupsze żarty. Siedziała w ławce z zadartym nosem, zabawnie upstrzonym piegami, z cienkim, potarganym warokoczem i wymachiwała grubemi rękami, aż któraś z dziewczynek wołała:

— Piotra Baba, pokazuj sztuki.

Wyskakiwała wtedy na środek klasy, jak wielka, ciężka kłoda, fikała kozły od których drżała podłoga i wykrzywiała twarz.

czał opowiadać i uczyć nowych słów. Jak „zakluczyć” znaczyło zamknąć, a „jaczka” — bluzka.

Za domkiem był mały, śliczny ogródek. Wiele domków miało tutaj takie. Wandzia po obiedzie poszła tam z Jasiem. Niecierpliwie czekała na mamę, żeby pójść razem i zobaczyć miasteczko.

Tymczasem jednak miasteczko przychodziło do niej. Przez płot ciekawie zaglądali ludzie, którzy poznawali nowe twarze. Szły tam kobiety z koszykami, małe, ciekawe dziewczynki w haftowanych białych fartuszkach i chłopcy w trebach i welwetowych kurtkach.

Zaglądali i rozmawiali głośno między sobą:

— Co to za jedne?

— To te, co wczoraj wciągnęli. Jeich ojciec u pana Szczuki w browarze robi.

Wandzia poczuła nagle ze smutkiem jaka jest tutaj samotna. Wszyscy odchodzili sobie czystą, pełną ogródków uliczką, szeptali z sobą, śmieli się, a ona nie miała nikogo. Kiedy tylko mama otworzyła furtkę i westchnęła:

— Jak tu ładnie —,

Wandzia podbiegła do niej i zwierzyła się:

— Mamo, jabym chciała do szkoły. Czy tu tylko jest jakaś?

— Naturalnie — pocieszyła ją matka. — Zaraz po drodze zobaczymy, trzeba będzie postarać się naprawdę, żebyś się jeszcze mogła do szkoły dostać w tym roku.

— Ja też chciam do szkoły — wrzasnął Jasio.

— Janek, chodź tu — zawołała Wandzia.

Za płotem ktoś rozeźmiał się głośno: — Janek zbił dzbanek... — zawołały dziecinne głosy.

Wandzia ucieszyła się. Całe szczęście, że wszędzie można było znaleźć urwisów.

III.

Szkoła znajdowała się przy ulicy, która wyglądała jak zdjęta z kolorowej widokówki. Domki po obu stronach białe, albo z cegły, z oknami pełnymi kwiatów.

Szkoła była dwupiętrowa, szara, ze sporym dziedzińcem. Cała ulica była wysadzana drzewami. Jeszcze nigdy nie widziała Wandzia tylu żywych roślin, ile tutaj.

Naturalnie, w Łodzi też były drzewa, ale stały przybłąkane gdzieś tam, zakurzone, blade, albo sztywno ustawione dla ozdoby. Tutaj były piękne, bujnie rozwinięte i wysadzono nimi prawie wszystkie ulice. Kiedy Wandzia podniecona i niespokojna weszła do budynku, opadła ją zaraz miła, znajoma wrzawa.

— V oddział na drugim piętrze — odpowiedziała zapytana dziewczynka, przyglądając się jej.

Ale Wandzia już się do tego przyzwyczaiła. Tak jest los nowych, że im się wszędzie przyglądają.

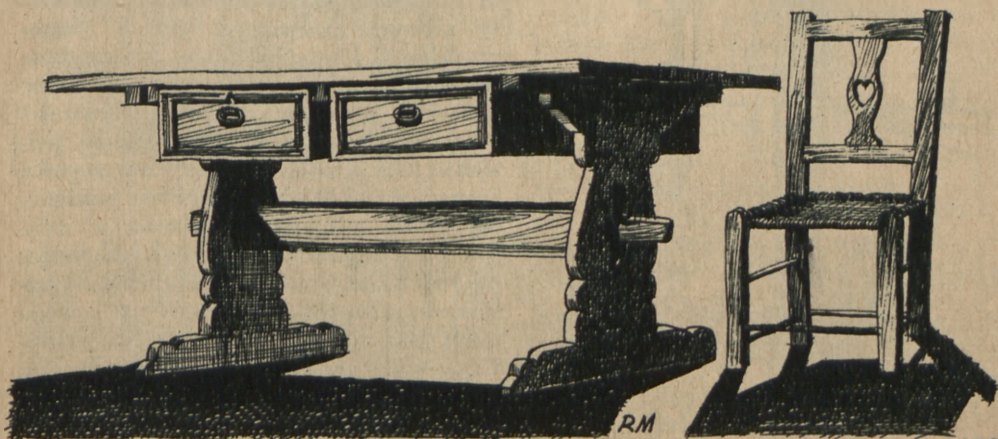
Wandzia otworzyła drzwi klasy. Ze ścian popatrzyły znajome szkolne rysunki i wycinanki i trzydzieści par oczu dziewczynek, które skierowały się wszystkie na przybysza.

Z przedsionka prowadzą do izby głównej niskie drzwi. Izba ta jest miejscem centralnym codziennego życia. W kącie stoi piec, pod ścianami ławy, zydel, kredens i łóżko, a przy oknie warsztat tkacki. W rogu izby stoi stół przykryty kilimem kurpiowskim w kolorowe pasy (kurpiowski) lub kraty czerwono-zielone (mazurski), a na nim figura Matki Boskiej i bukiety kwiatów z kolorowej bibułki. Nad stołem wiszą obrazy świętych, reszta ścian wyklejona wycinankami z kolorowego papieru, więc: *psiejoki* (koguty), *paziki* (pawie) — najbardziej kolorowe spośród innych wycinanek, *leluje* — rodzaj gałązek kwiatów w doniczkach lub sosenek, pełnych kogucików i innych ptaków, *hostyje* — rodzaj monstrancji i *ziadzdy* (gwiazdy) wycinane niekiedy w bardzo subtelny ornament. Spotykałem stare Kurpianki, które najmisterniejsze wycinanki cięły dużymi nożycami do strzyżenia owiec. W oknach wiszą z białej bibułki wycinane *siranki* (firanki), zdobne w kolorowe róże. U *pułapu* (sufitu) wisi misternie wykonany z kolorowej bibułki i słomki *pająk* lub *kierec*.

W okresie Wielkiego Tygodnia Kurpianki wykonują *pisanki* zwane przez Kurpiów *krukami*, barwiąc jaja: na czarno w wywarze kory dębowej lub olchowej, na brązowo-żółto w wywarze łupin cebuli, zaś na czerwono w wywarze gotowanych buraków ćwikłowych, wyskrobując następnie szkłem lub nożykiem ornament pełen kogucików, sosen-



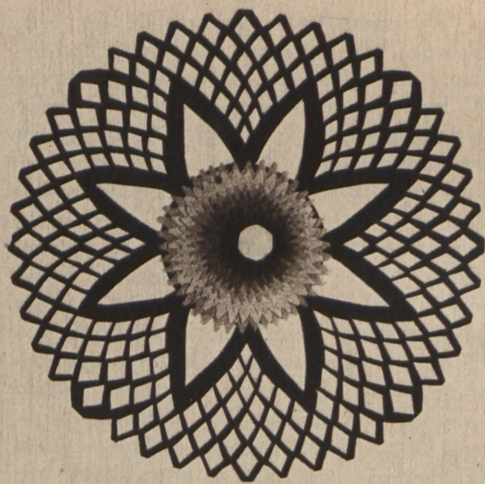
KRZYŻ KURPIOWSKI



nek, gwiazd, motywów związanych z kultem chrześcijańskim oraz rysunki sprzętów domowych, narzędzi rolniczych i t. p.

Stare meble kurpiowskie spotykamy coraz rzadziej, wyrugowuje je tam mebel miejski. Spotyka się jeszcze: stoły jesionowe wsparte na dwóch bogato profilowanych stojakach, ściągniętych w pośrodku *sponą* (poprzeczką), zewnątrz usztywnioną klinem, skrzynie malowane w kwiaty i ornament charakterystyczny dla sztuki kurpiowskiej oraz krzesła, których siedzenia plecione są z wiotkich korzeni sosnowych, podobnie, jak coraz rzadziej w ten sposób wykonywane kosze i misy.

Przed wojną wyrabiano z kopalnych



„ZIAZDA” KURPIOWSKA



KAPLICZKA PRZYDROŻNA

bursztynów paciorki, serduszka, krzyżyki i inne ozdoby.

Bardzo ciekawym zabytkiem są spotykane przy drogach krzyże i kapliczki, a na rozstajach dróg nawet grupy z kilku krzyży. Nad wodami spotyka się kapliczki ze św. Janem. Pochodzą przeważnie sprzed osiemdziesięciu lat t. zn. sprzed czasu, w którym rządy zaborcy rosyjskiego zabroniły stawiania krzyży i kapliczek przydrożnych. Późniejsze czasy dawnego petyzmu do budowy zdobnych krzyży i kapliczek nie wkrzesiły. Obecne lata są kresem ich żywotności, toteż z roku na rok ubywa ich coraz więcej.

Stroje kurpiowskie utrzymały się u kobiet i dziewcząt. Na strój dziewczęcy składa się koszula z białego *parłu* (płótna), której kołnierz i mankiety obszyte czerwonym *guzem* (sznurkiem), *kitel* (spódnica) z samodziału w drobne różnokolorowe podłużne paseczki i *zistek* (obcisły staniczek) z aksamitu lub kwiecistego jedwabiu. Szyję zdobią sznury bursztynów (coraz rzadziej) lub paciorki szklane. Na głowę nakłada Kurpianka w dniu uroczyste *czólek* z aksamitu czarnego, przyozdobiony złotym sztychem, z bukieciem sztucznych kwiatów z lewego boku, zakończony styłu pękiem różnokolorowych wstążek, opadających na plecy wraz z dwoma warkoczami. Kobiety zamężne, jak i dziewczęta, noszą

na głowie chusteczki białe założone na zakład, stylu związane.

Mężczyźni zatracili zupełnie strój kurpiowski. U biedniejszych pozostały resztki w postaci chodaków plecionych z łyka, przymocowanych rzemykami lub sznurkami dookoła kostki, czasem jeszcze koszula związana u szyi *faworkiem*



SPRZĘTY KURPIOWSKIE



LELUJA KURPIOWSKA

kolorowym (*wstążeczka*). Dawne *kapaluse* jak i *wołoski* (*kapoty*) wyszły zupełnie z użycia; zastąpił je strój miejski, a na głowie granatowa *maciejówka*.

W Nowogrodzie, starym grodzie kurpiowskim, wybudowano na wysokim stoku brzegu Narwi, staraniem Pp. Chętników muzeum kurpiowskie, przeistaczając cały stok w ogród osobliwości kurpiowskich ze świata botanicznego i sztuki ludowej. W muzeum skompletowany jest ciekawy zbiór: *świętków*, wykonanych przez domorosłych artystów kurpiowskich, *bursztynów* kopalnych w przeróżnych odcieniach, *kilimów*, *haftów*, *wycinanek*, *pisanek*, starych narzędzi do użytku gospodarstwa domowego, rolniczego, rybnego i bartniczego.

Piękny zbiór *świętków*, *kilimów*, *kruków*, t. zn. *pisanek*, *bursztynów*, *lalek* w kurpiowskich strojach i innych przedmiotów z zakresu sztuki kurpiowskiej posiada wielce w niej rozmiłowany ks. Eugenjusz Kłoskowski w Myszyńcu, chętnie udzielając wycieczkom szkolnym potrzebnych objaśnień.

R. Macura



WARTOŚĆ SZTUKI LUDOWEJ

O wielkości każdego narodu i jego dobrej sławie decyduje wiele czynników.

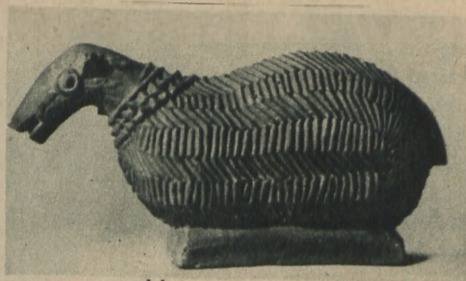
Jednym z najważniejszych w tym względzie jest udział narodu w ogólnym dorobku kultury ludzkości.

Im więcej uczonych, artystów, pisarzy o wszechświatowej sławie i wartości posiada dany naród, tem lepszą cieszy się opinią w rodzinie innych narodów, tembardziej zasługuje na miano wielkiego.

Imię Polaka obok uczonych najbardziej rozśławili po świecie wielcy polscy pisarze, artyści, muzycy, malarze, rzeźbiarze i t. p.

Największy muzyk polski, Fryderyk Chopin (Szopen), jest znany całemu światu. Jego precudne utwory grają muzycy nie tylko całej Europy, ale i dalekiej Ameryki i Australji.

Jest rzeczą godną najwyższej uwagi, że Chopin czerpał natchnienie do swych utworów muzycznych z melodyj ludowych: kujawiaków, oberków, mazurów.



SEREK GÓRALSKI

Najsławniejsi wieszczowie nasi, Mickiewicz i Słowacki, tworząc swe arcydzieła, sięgnęli do podań i pieśni ludowych.

Zawsze tak bywa, nie tylko u nas Polaków, że ten staje się największym, najsławniejszym artystą, kto czerpie tematy i motywy swej twórczości z odwiecznej skarbnicy sztuki ludowej. Bo iem sztuka ludowa każdego narodu, tak samo jak i polska, zdołała przechować w swych tworach pierwszorzędne, swoiste znamiona ducha i stylu danego narodu.



KAPLICZKA GÓRALSKA

Twórczość artystyczna narodów, oderwana od rodzimej gleby sztuki ludowej, karleje i wyradza się.

Tak było i w Polsce w drugiej połowie 19-go wieku, zwłaszcza w dziedzinie narodowego przemysłu artystycznego.

Wielki pisarz i wielki artysta polski, Stanisław Witkiewicz, w następujący sposób opisuje artystyczne niedomagania tych czasów:

„W stosunku do europejskiego przemysłu artystycznego jesteśmy czemś mniej nawet niż dzikie plemiona Afryki, dla których drukują percale w angielskich fabrykach, z uwzględnieniem ich upodobań...

Nas nikt nie pyta, co nam się podoba i czy nam się podoba; weźmiemy wszystko, co nam z łaski swej niemiec-
cy tandeciarze zechcą sprzedać..."

A na innym miejscu takie gorzkie
słowa prawdy rzuca w twarz Polaków
tenże St. Witkiewicz:

„Nie mamy nic takiego, co by, no-
sząc cechę arcyzmu, wyrażało zarazem
nasze plemienne upodobania i co by
jednocześnie mogło być zbogaceniem
ogólnego dobra ludzkości.

Nic! Ani łyżki, ani miski!

Nie mamy nic dla siebie i nic też
dla drugih. Ani po wystawach, ani na
targowiskach niema żadnego przedmio-
tu, któryby nosił nasze imię. Jesteśmy
w tym kierunku zupełnymi nędzarza-
mi..."



HOSTYJA KURPIOWSKA



CHRYSTUS FRASOBLIWY

W r. 1886 St. Witkiewicz „odkrył”
Zakopane, t. j. pierwszy raz dotarł
w swych wycieczkach do tych okolic
i był olśniony i zdumiony bogactwem
i różnorodnością sztuki ludu podhalań-
skiego.

St. Witkiewicz z zachwytem stwier-
dził, że sztuka tego ludu przeniknęła
do wszystkich dziedzin codziennego ży-
cia, że i chata, i odzież, i naczynia,
i narzędzia są przepięknie, swoiście
i bardzo artystycznie wykonane i zdo-
bione.

Witkiewicz odrazu zrozumiał, że
skorzystanie z motywów sztuki ludowej
Podhala i innych okolic Polski może
przynieść wielką korzyść polskiej kul-
turze artystycznej, a zwłaszcza ożywić
i zapłodnić polski przemysł artystyczny.

Tak się też i stało. Całe dziesiątki
artystów czerpało i czerpie ze skarbów
przemysłu i sztuki ludowej. Artystyczny
przemysł polski ożywił się znacznie.
Polskie kilimy, pasy, rzeźba w drzewie,
wyroby lniane i t. p. docierają do ryn-
ków angielskich, amerykańskich i są
chętnie nabywane ze względu na swe

wysokie wartości artystyczne, oparte na motywach ludowych.

Widzimy więc, że koniecznem jest

odnajdywanie, zbieranie, ochranianie wszystkich zabytków i wyrobów polskiej sztuki ludowej.

J. N.



Stefan zrozumiał, że myśli o panu Ami.

— Wyskoczył przez okno.

— No to biegnij za nim czem prędzej, niech się dłużej nie denerwuje.

Stefan przebiegł pędem ogródek, a na łące koło zarośli przyłożył dłoń do ust i krzyknął z całego gardła:

— Hop, hop! Niech pan wraca! Hop, hop!

Po chwili o jakie kilkaset kroków przed nim wynurzyła się z krzaków postać pana Ami.

— Niech pan wraca! — wołał Stefan i biegł ku niemu. Dobiegłszy, wyjaśnił omyłkę, a potem chwycił go za rękę i rzekł tonem porozumiewawczym:

— Ja już dawno domyślałem się, że pan nie jest Francuzem.

Pan Ami syknął i położył palec na ustach, a potem dodał:

— Najbezpieczniej o tem nie mówić. Myślę nie tylko o sobie, ale przede wszystkim o tobie. W razie prawdziwych żandarmów lepiej dla ciebie, gdy nie będziesz o niczem wiedział.

Poszli do domu w milczeniu i oddał ile razy pozostawali sami, zapadała między nimi pełna ukrytych myśli cisza. Tylko Stefan jeszcze

uważniej obserwował gościa, gdyż nurtowała go ciekawość, czy on teraz coś działa dla Polski, lecz nie mógł zauważyć niczego, co by potwierdzało jego podejrzenia.

W połowie czerwca matka zawiozła Stefana do gubernjalnego miasta na egzamin, zdał go świetnie i uradowany, z poczuciem swobody, wrócił do domu. Pierwszy raz spędzał w Kalince wesołe lato. Kąpał się, jeździł konno, nawet strzelał ze starej fuzji dziadka. Chodził z Władysiem i dziećmi ze wsi do lasu na jagody i grzyby. Z panem Ami miewał tylko jedną godzinę dziennie francuskiego, pozatem unikał jego towarzystwa, a i gość od popłochu, wywołanego rzekomymi żandarmami, więcej przesiadywał w swoim pokoju i jakby trochę spochmurniał.

W końcu czerwca obita się o uszy Stefana wiadomość o zamodowaniu arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, następcy tronu austriackiego, w Sarajewie przez patryjotów serbskich, ale mało zwrócił na nią uwagi, pochłonięty używaniem swobody wakacyjnej. Wieczorem słyszał wprawdzie, jak mama i pan Ami rozmawiali często o tym wypadku i o jego możliwych następstwach, zastanawiali się, czy wybuchnie wojna, ale chłopiec tak był teraz zwykle senny po całym



dniu, spędzonym w lesie lub nad strugą, że z głową wspartą na łokciu drzemał. Dopiero, gdy we wsi podniósł się lament, bo kilku młodych mężczyzn dostało wezwanie do woj-ska, Stefan zastanowił się, że to mo-bilizacja, a mobilizacja to przygo-towanie do wojny i pobiegł wystraszo-ny do matki. Zastał ją w pokoju pana Ami. Już wiedzieli o mobilizacji i bardzo byli tą wiadomością poru-szeni, ale nie zmartwieni. Przeciwnie, pan Ami chodził z ożywieniem po pokoju i przyciszonym głosem coś opowiadał mamie, a na widok Stefa-na wykrzyknął:

— No, chłopcze, to może i dla nas godzina wolności wybije!

Stefan zdumiał się i bąknął:

— Tak pan sądzi?

— Jestem prawie pewien. Nasi

wrogowie pogryzą się między sobą, a my z tego skorzystamy.

— Teraz on zacznie działać, — pomyślał Stefan. Może w oczekiwa-niu na to tutaj siedział? Nie mógł jednak przewidzieć, że zabiją arcy-księcia. W każdym razie coś się wy-jaśni.

— O czym myślisz? — zapytał pan Ami.

— Myślę, co się stanie z panem— odpowiedział szczerze.

Pan Ami podszedł do Stefana, po-łożył mu ręce na ramionach i z uśmiechem radosnym zawołał:

— Dla mnie to może być wy-zwolenie!

Teraz już wypadki szybko nastę-powały po sobie. Po mobilizacji przyszła wiadomość, że zamknięto w miasteczku wszystkie kasy rządo-

we, a potem, że nie tylko kasy, ale i biura powiatu, i Komenda Policji, i Sąd, i Poczta i Telegraf pakują swoje papiery i wszelkie urządzenia biurowe, aby móc w każdej chwili uciekać w głąb kraju.

Stefan był tem tak przejęty, że codziennie konno lub pieszo pędził do miasteczka i rozpytywał kogo tylko mógł o wojnę: czy wybuchnie, czy aby napewno wybuchnie i kiedy, czy już niedługo?

Gdy mu raz urzędnik na poczcie powiedział:

— Ja myślę, że Serbowie przepraszają Austriaków i do wojny nie dojdzie—chłopiec tak się tem zmartwił, że bliski płaczu wrócił do domu.

Jednak Serbowie odmówili żądaniom Austriaków i wojna została wypowiedziana.

Stefan był w miasteczku w chwili, gdy o tem przysłała wiadomość. Widział sam, jak naczelnik powiatu z kuframi jechał na stację kolei. Naturalnie przedewszystkiem pomyślał o panu Ami i pojechał sprawdzić, co robi policja. W jej budynku zamknięte były wszystkie okiennice, a przy drzwiach wisiała ogromna kłódka.

— Cóż to, zostajemy bez opieki? — zaśmiał się Stefan do szewca Szymczyka, który miał warsztat naprzeciw Komendy Policji i stał na progu z fajką w zębach.

— Ach, paniczu, jak oni się śpieszyli, jak zmykali — odpowiedział szewc — aż serce się radowało.

— Może jednak niedługo wrócą?

— Tu nad samą granicą, to chyba aż po wojnie, jeżeli naturalnie zwyciężą. Ale miejmy nadzieję w Bogu, że ich już nigdy nie ujrzymy.

— Daj Boże! — wykrzyknął Stefan — dotknął konia szpicrutą i pędził do domu z radosną wieścią.

Na ganku i w stołowym nie zastał nikogo, więc pobiegł do pokoju pana Ami, skąd dochodziły głosy jego i mamy, ale gdy zapukał i chwycił już za klamkę, wstrzymał go okrzyk pana Ami:

— Nie można! Kto tam?

— To ja, Stefan.

— Poczekaj chwilkę, zaraz, zaraz!

— Kiedy ja z taką dobrą nowiną: wojna wypowiedziana i Moskale uciekli z miasteczka.

— Wiemy, wiemy — odpowiedziała mama.

Stefan uczuł się boleśnie dotknięty. Jakto, wiedzą i teraz jeszcze mają przed nim tajemnice? Czyż, jeśli rozpoczynają jakieś działanie, to nie mogą mu o tem powiedzieć?

Wtem otwarły się drzwi, stał za niemi pan Ami — jakże zmieniony! Pan Ami bez okularów i brody, a tylko z małemi wąsikami, jakie nosił kiedyś ojciec. Stefan patrzył na niego w zdumieniu. A pan Ami z uśmiechem ujął go za ramię, doprowadził do okna i stawiając przed sobą, rzekł:

— Przyjrzyj mi się teraz uważnie i zastanów, czy nigdy dawniej mnie nie widziałeś?

Stefan patrzył i patrzył, a przez głowę pędziły mu myśli, przypomnienia, porównania. Te błękitne oczy trochę pobladłe i z powiekami zaczerwienionemi, ten nos prosty i cienki, te wąsiki, te śmiejące się, pełne usta, ta broda okrągła z dołkiem w środku, taka sama, jak u niego, a przy wszystkim zupełnie łysa głowa i przygarbione plecy.

Pan Ami patrzył na niego z napięciem, twarz mu spoważniała, a usta drżały.

Nagle w sercu Stefana wezbrało ogromne wzruszenie, w głowie myśli splątały się w wir i chłopiec nie wiedział, czy śni, czy też to, co tam w sercu i głowie poczyna mu świtać, to jest niemożliwa do pojęcia prawda, czy majak, po którym zostanie jeszcze większy żal i większa tęsknota.

— Pan, pan... — zaczął jąkać.

— No! no! — przynaglił pan Ami.

— Pan podobny jest do ojca.

Dwoje ramion chwyciło go tak silnie, aż się zachwiał, gorące usta spadły na jego czoło, oczy, policzki, a łzy mieszały się z jego łzami.

— To ja, synu, to ja! — łkał głos najdroższy pod słońcem.

Stefanowi pociemniało w oczach i zwiśł nieprzytomny w objęciach ojca. Otrzeźwił go silny zapach amoniaku, który matka podsuwała mu pod nos. Otworzył oczy, łzy z nich pociekły, kichnął kilka razy. Był oszołomiony, miał poczucia, że się stało coś wielkiego i szczęśliwego, ale jeszcze nie uświadamiał sobie, co właściwie takiego. Widział nad sobą twarz matki zapłakaną i uśmiechniętą.

— No, synku, jakże się czujesz? — zapytała matka troskliwie i cofnęła butelkę z amoniakiem.

Stefan kichnął znowu kilka razy, podniósł rękę do oczu i zaczął wycierać łzy. Mama wyciągnęła z kieszeni swetra chustkę i wytarła mu oczy i twarz, jak dziecku.

— Ach, synu, taki z ciebie zuch! — usłyszał z boku męski głos i wtedy uprzytomnił sobie wszystko.

— Ojciec — szepnął — ojciec, ale ja tego nie rozumiem!

Matka usunęła się, a na brzegu łóżka siadł ojciec, ujął rękę chłopca, głaskał ją i mówił, patrząc na niego miłośnie:

— Powiedziano wam, że utonąłem w jeziorze, otóż ja nie utonąłem, tylko sam rzuciłem się do wody, aby uciec, co mi się zupełnie udało.

— Czemu nam ojciec zaraz o tem nie napisał?

— Przypuszczałem i pewnie słusznie, że wasza korespondencja jest pod dozorem policji, więc bałem się was narażać na prześladowanie, gdyby Moskale dowiedzieli się prawdy, a zresztą nie mógłbym w takim razie wrócić do kraju. Ja zaś odrazu miałem ten zamiar.

— Gdyby tu jednak ktoś ojca poznał?

— Zmieniłem się chyba dosyć, skoro ty mnie nie poznałeś. Ale co tam ty! Ty byłeś mały, kiedy mnie aresztowano i mogłeś zupełnie zapomnieć, jak wyglądam, ale doktor Kazio mnie nie poznał i przez dłuższą chwilę brał za oszusta, który go chce wyzyskać, podając się za mnie.

— A mama?

— Mama w pierwszej chwili naturalnie mnie nie poznała, bo przedewszystkiem myślała, iż nie żyję, ale skoro tylko powiedziałem jej, że to ja, odrazu poznała mój głos.

— A dlaczego przede mną ojciec ukrywał prawdę?

— Kilka razy, zwłaszcza spoczątku, chciałem ci się dać poznać. Później jednak zastanowiłem się, że gdyby ktoś obcy poznał mnie i zdradził, gdyby przyszło do rewizji, aresztowania i badania, to dla ciebie

byłoby bezpieczniej nie wiedzieć,
kto ja jestem.

— Jaby'm nie zdradził.

— Wierzę, ale ukrywając praw-

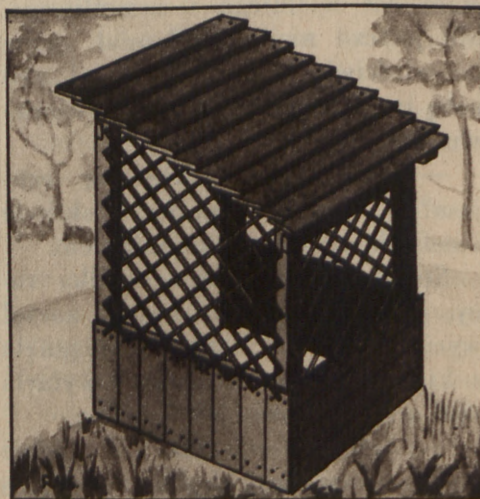
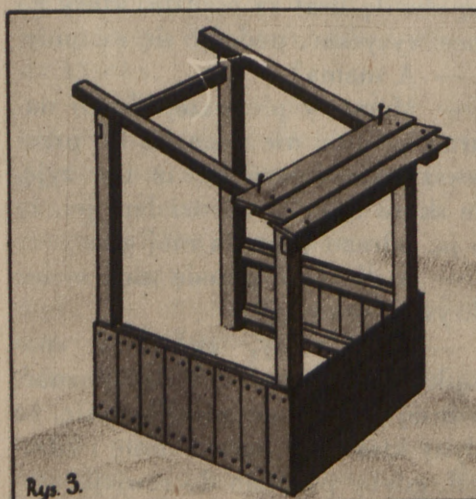
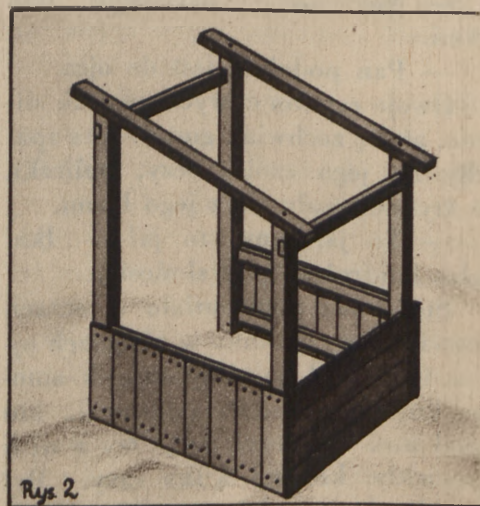
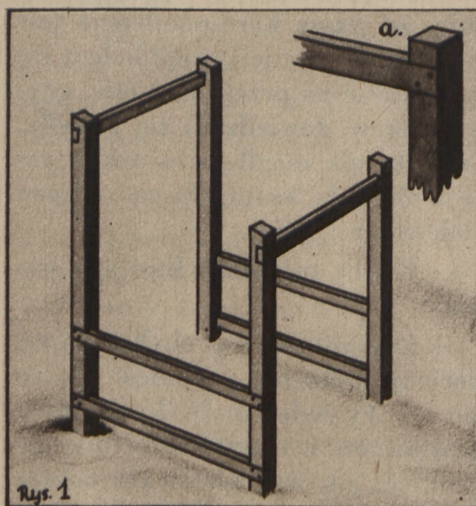
dę, męczyłbyś się nerwowo, a masz
za sobą ciężką chorobę mózgu. Kto
wie, czyby się nie odezwała pod tak
silnem wrażeniem.

c. d. n.

Br. Włodkówna



ALTANKA



Do wykonania altanki potrzebne nam będą 4 belki o przekroju 10×10 cm: dwie po 3 m. długości, a dwie — po $2\frac{1}{2}$ m; prócz tego — cienkie deski do pokrycia dachu i obicia dolnej części altanki, grube listwy o przekroju 5×10 cm. oraz długie cienkie listewki na okratowanie.

Miejsce, przeznaczone do ustawienia altanki, zrównamy i wyznaczmy na niem kwadrat o boku 2 m. Na rogach wykopiemy 4 doły głębokości 60 — 80 cm.

Na belkach trzeba wyrząć wręby na odpowiednich wysokościach, przeznaczone do związania belek zapomocą sze-

ściu listew poziomych, jak to widać na rys. 1. Potem przybijamy dolne listwy do słupów.

Po wkopaniu ich w ziemię, przybijamy górne listwy poziome, łącząc w ten sposób boczne ściany altanki (rys. 1).

Potem obijamy dolną część deskami, przyczem na bocznych ścianach deski te będą krótkie, a na tylnej ścianie długie, wreszcie przybijamy krokwie, na których oprze się dach (rys. 2).

Deski dachu przybijamy od dołu, tak, aby jedna deska zachodziła na drugą (rys. 3).

Gdy to już wykonamy, wówczas okratujemy ściany cienkimi listewkami.

Czesław Kaczmarczyk



„Wycieczka do lasu” — taki jest tytuł obrazka dla młodszych dzieci, pióra p. Janiny Broniewskiej, który zostanie nadany we wtorek, 19 maja o godz. 12 min. 15. Słonko wiosenne coraz mocniej przygrzewa, więc gromadka szkolnych dzieci wyruszy do lasu, aby radośnie spędzić dzień na świeżem powietrzu. Wesołe piosenki będą towarzyszyły w drodze Waszym kolegom.

Na środę, 20 maja od godz. 16.00 do godz. 16 min. 20 jest zapowiedziana: „Rozmowa Majsterklepki z Lepigliną”. Ci dwaj spryciarze ostatni raz w tym roku szkolnym dadzą wskazówki i rady, w jaki sposób można samemu zrobić kajak. Napewno wielu z Was zainteresuje ta ostatnia rozmowa, która ma tytuł: „Przydałby się teraz kajak”.

We czwartek, 21 maja o godz. 16.00 będzie odczytany fragment powieści p. t.: „Chiński dwór” i zilustruje Wam życie Waszych rówieśników na kolonjach letnich. Powieść ta napisana przez p.

J. Korczakowską, była drukowana w „Płomyku”.

W piątek, 22 maja o godz. 12 min. 15 oczekuje Was słuchowisko przyrodnicze p. t.: „Bal pod płotem”, napisane według opowiadania p. Kisielewskiej. Usłyszycie nie tylko o roślinkach pielęgnowanych przez człowieka, lecz i o takich, które zapomniane rosną w kącie pod płotem. Będzie także mowa, w jaki sposób odbywa się zapylenie kwiatów.

A o godz. 16 min. 45 słuchajcie zajmującego opowiadania w formie dialogu pod tytułem: „Dzieje i przygody Krzysztofa Kolumba”. Nie tak łatwo udało się Kolumbowi dotrzeć do Ameryki, musiał znieść wiele przykrości i wiele przeszkód pokonać, zanim swój projekt urzeczywistnił.

W sobotę, 23 maja od godz. 16 min. 15 do godz. 16 m. 45 rozgłoszą po znańska nada obrazek słuchowiskowy, urozmaicony ładnymi piosenkami p. t.: „Konik polny i mrówka”. Słuchowisko

opracowane jest według bajki dobr. Wam znanej, a przygody polnego konika są bardzo ciekawe i wesołe. Posłuchajcie.

Na niedzielną audycję, 24 maja, w dzień Święta Matki, Radio zaprasza nie tylko Was, ale i Wasze Mateczki. Aby uczcić ten dzień, koła młodzieży Polskiego Czerwonego Krzyża organizują uroczystą audycję i ze wszystkich rozgłośni Pol. Radja dadzą urozmaicony program, na który złożą się: piosen-

ki, wiersze, podziękowania i muzyka orkiestrowa. Zbierzcie się jaknajliczniej przy głośnikach o godz. 16.00, gdyż ta audycja będzie wyrazem hołdu składanego wszystkim Matkom w dniu Ich święta.

W poniedziałek, 25 maja od godz. 18 min. 30 do godz. 18 min. 40 Marjusz Maszyński wygłosi bardzo zabawne wiersze, tłumaczone z języka rosyjskiego. Wiersze, pełne humoru, ubawią świetnie młodsze i starsze dzieci.



Uczennice i uczniowie z Bieniakoni na Wileńszczyźnie piszą:

„Bardzo podobały się nam utwory uczniów zamieszczone w 29 numerze „Płomyka”. Prosimy Cię „Płomyku”, podziękuj serdecznie tym dzieciom za to, że dużo trudu włożyły w swe prace i powiedz im, że wszystkie utwory czytaliśmy z wielką przyjemnością”.

Czytelnikom w Bieniakoniach dziękuję za ciekawe opisy zwyczajów wielkanocnych na Wileńszczyźnie. Napiszcie mi, czy podobał się Wam świąteczny numer piśmka.

Pozdrawiam serdecznie czytelników z Michowa (klasa VI-a), a szczególnie te dzieci, które występowały w „Żywym Płomyku”. Jaka szkoda, że nie mogłem widzieć Waszej wieczornicy, podobno wszystkie obrazki i wiersze były wzięte z różnych numerów „Płomyka”. Bardzo to miła nowina dla mnie.

Mile witam Kółko Miłośników Płomyka w Uhryniu.

Czy dużo obrazków scenicznych już odegraliście? Spodziewam się, że niedługo doniesiecie mi o wielkich występach w różnego rodzaju pracach przedsięwziętych w Waszym Kółku. Życzę, aby koło pięknie się rozwijało.

Jaknajmilej pozdrawiam i dziękuję za listy: Uczennicom i uczniom klas V i VI z Głokowa, harcerkom i harcerzom z Sielca n/Jaś., uczennicom i uczniom klasy VI-a z Nałęczowa, uczniom klasy V-a z Legionowa pod Warszawą i dzieciom klasy IV z Mosarza.

Chętnie nawiążą korespondencję: uczniowie klasy V, szkoły powsz. nr. 2 im. Wład. Jagiełły w Opocznie z rówieśnikami na Polesiu i Podhalu.

Uczennice i uczniowie klasy V-a szkoły powsz. nr. 2 w Legionowie pod Warszawą z równorzędną klasą szkoły wiejskiej w ziemi łowickiej.

Klasa V-b szkoły powsz. w Jastkowie, poczta Lublin z rówieśnikami na Wileńszczyźnie.

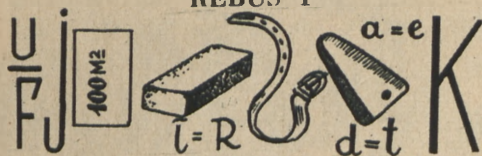
Klasa VI szkoły powsz. nr. 1 w Sompolinie, pow. Koło, woj. łódzkie z rówieśnikami na Śląsku.

Klasa IV szkoły powsz. w Zgniłobłotach, pow. Brodnica, poczta Bobrowo na Pomorzu z równorzędną klasą na Polesiu.

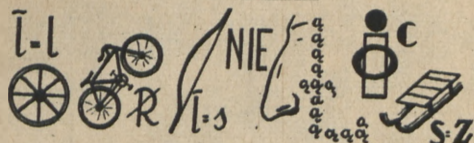
Uczennice i uczniowie klasy VI, szkoły powsz. nr. 4 w Łagiewnikach śląskich proszą, aby dzieci z innych szkół nie pisały do nich listów, gdyż nie będą mogli dać im odpowiedzi.

NIE KAŻDY SNADNIE TO ODGADNIE

REBUS 1



REBUS 2



ZAGADKA 1

Oto zagadka
wcale nie rzadka:
szare, niewielkie,
każdą butelkę
zatka.

ZAGADKA 2

Lewa sąsiadka,
prawa sąsiadka —
jedna matka.
Każda ma dzieci pięcioro,
co napotka — dzieci biorą.

ZAGADKA 3

Mieszkało w domku,
zamkniętym dokoła.
Dom rozbiło,
wyskoczyło
jeść woła.

ZAGADKA 4

Skacze sobie na łące,
skacze sobie pod lasem
i konika ma za pasem.

SZARADA

Pierwszą odgadniesz
z wysiłkiem małym,
oznacza bowiem
port (lecz niecały).
A druga — czwarta
na towar w sklepie-
żle, gdy wysoka,
gdy niska — lepiej.
Znów druga — trzecia
równie być może
w każdym więzieniu,
w każdym klasztorze.
A całość gliny gatunek znaczy,
z niej jest niemało
prześlicznych naczyń.

ROZWIĄZANIA Z N-RU 35.

Rebus 1 — dwunasty maj smutna
rocznica, 2 — od roku pusto w Belwe-
derze. Zagadka 1 — Marszałek, 2 — Wa-
wel, 3 — Wilja i Wilno, 4 — legjony, 5 —
źródło. Szarada — Belweder.

WARUNKI PRENUMERATY:

W prenumeracie pojedynczej:		W prenumeracie zbiorowej (od 10 egz. wzwyż)	
miesięcznie	zł. 1.10	miesięcznie	zł. —.84
półrocznie	„ 5.—	półrocznie	„ 4.—
rocznie	„ 10.—	rocznie	„ 8.—

POJEDYŃCZY NUMER „PŁOMYKA” KOSZTUJE 30 gr.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: WARSZAWA, UL. SMULIKOWSKIEGO 1.
(wejście od ul. Dobrej Nr. 6). Nr. telefonu administracji 2.69-49, redakcji — 6.30-28.

Konto czekowe P. K. O.: „Związek Nauczycielstwa Polskiego — Zarząd Główny —
Warszawa” — Numer konta 435.

PRENUMERATORÓW WARSZAWSKICH OBSŁUGUJE BIURO ADMINISTRACJI PRZY
ULICY ŚWIĘTOKRZYSKIEJ 18, TEL. 5.22-18. BIURO CZYNNE OD G. 9-ej DO 7-ej W.

Redaktorzy: M. KOTARBIŃSKI i ST. MACHOWSKI. Kierownik artystyczny — K. PIENIAŻEK
Wydawca w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego: — STANISŁAW MACHOWSKI.

Druk. Rotograw. „Nowoczesnej Spółki Wydawniczej, S. A.”, Warszawa

